NUMER 30. DNIA 5. SIERPNIA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

ZANIM „TRYPTYK“ OPOWIADAĆ ZACZNIE!

Na „tryptyku“, który rada miasta wystawi u stóp Wysokiego Zamku Franciszkowi Smolce wyrażoną zapewne zostanie postać starca, co na kopcu Unji Lubelskiej pozostał... sam jeden. I gdyby jeszcze rzeźba chciała uwzględnić kronikarskie nastroje, to by się na niej stokrotnem echem odbił grzmot entuzjazmu, który towarzyszył pierwszym taczkom ziemi, wywożonym na kopiec, a potem cisza, obojętność i wreszcie ten starzec z długimi wąsami, który codziennie wychodził aż na sam szczyt ukochanego przez siebie dzieła, a w kronice pism codziennych ogłaszał „bilans“ jego budowy, bilans, którego jedyną, a zasadniczą rubryką było: „pokryłem z własnych funduszów“.



Kładzenie kamienia węgielnego pod kopiec Unji.

Podstawę kopca Unji lubelskiej stworzył

ogólny zapał, do szczytu go wywiodła ofiarność Franciszka Smolki, całość jest pomnikiem dobrych chęci, serdecznego pragnienia zgody, która nie nastąpiła, widomym znakiem pojednania, do którego tak bardzo daleko...

Z kamiennych ścieżyn, od zielonej darni, która okryła powoli zbocza kopca Unji lubelskiej — uleciało już dawno srebrzyste ptactwo, co u kolebki jego miłości pieśń świergotało i zgody, pierzchły wielkie ideje dróg wspólnych i celów, zda się milknąć poczynają wiekopomne słowa aktu lubelskiego. Został tylko Franciszek Smolka.

I tryptyk wskaże przechodniom drogę na kopiec, a na nim opowieść wysnują dzieje o mężu wielkiej miary, niespożytych zasług, szerokiej myśli. Bo pamięć Franciszka Smolki najbardziej widomie i serdecznie związała się z kopcem Unji lubelskiej i z tą chwilą, kiedy kładziono jego kamień węgielny, a na ten kamień sypały się grudy ziemi ze wszystkich stron Polski, z wielkich pobojowisk, z obczyzny i wygnania.

Była to chwila zgody, zbratania się, dobrej woli. Malarz ją współczesny wystawił na obrazie, z którego widnieją dobrze znane, choć już zamarłe postacie przeszłego pokolenia, co żyć umiało w krainach ułudy, a myślą swoją zda się zaledwie tylko ziemi dotykało. Ot ten naprzykład staruszek, pochylony, siedzący po lewej stronie obrazu. Starsi z Lwowian pamiętają go bardzo dobrze, bo wszak to Jan Pawulski, weteran napoleoński, a potem „archiwista“ stanów galicyjskich, a potem przez długie lata przywódca wszystkich manifestacji patrjotycznych. Zapamiętał listopadowe boje i wiosnę narodów i czasy dzikiego ucisku. On to prowadził polityczne korowody z pochodniami, on lwa kamiennego, starożytnego „lorencowinowskiego“ na kopiec z wielkim aplauzem narodu wynieść zaproponował, on jeszcze przed laty trzydziestu niósł honorowe odznaki przed trumną Alexandra Fredry. Któż ze starszych nie pomni Pawulskiego, co wiecznie w konfederatce chodził, z wąsami, jak wiechy, a z twarzą taką, że ją żywcem brali na płótno malarze ubiegłych dziejów!

I innych mężów znane postacie wyzierają z obrazka, których wspomnienie przywodzi przed oczy czasy inne jakieś, takim czarem politycznej poezji owiane, że im nawet kamienna przeszłość nic nie miała do powiedzenia — tak, jak tym ludziom, którzy na gruzach starego „Wysokiego Zamku“ — kopiec Unji Lubelskiej stawiali.

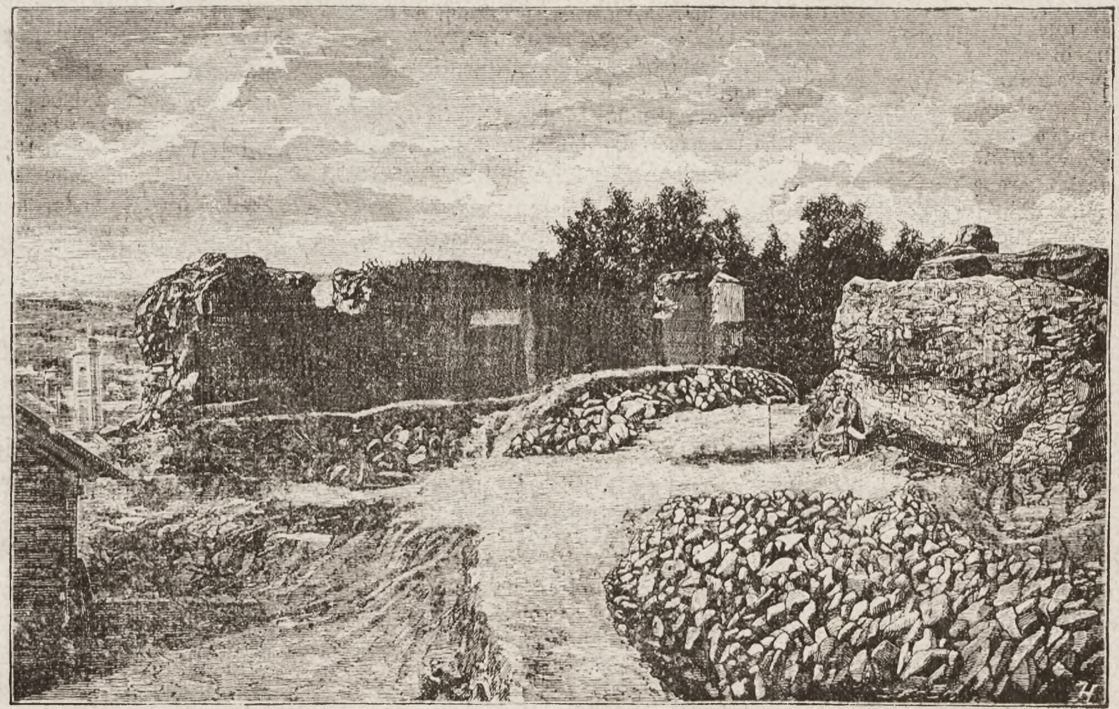
Bo zanim przystąpiono do sypania kopca, widział Lwów na swojej górze zamkowej to, co przedstawia druga rycina dzisiejszego numeru „Tygodnia“: olbrzymie rumowisko, poczerniałe od starości mury, ze strzelnicami i armatnimi wylotami, jednem słowem szczątki Wysokiego Zamku. Ruiny te potężne, malownicze, przemawiały wspomnieniem pięciu wieków, ale mowy tej, z wyjątkiem paru historyków, nikt wówczas we Lwowie nie rozumiał.

Nie rozumiał. Bo inaczej trudno by było w tem właśnie miejscu stawiać kopiec Unji lubelskiej. Wszędzie indziej — tylko nie tutaj, bo wieczorami po tych ruinach chodziły jęki mężów, niewiast i dzieci wymordowanych w r. 1648 przez pułkownika kozackiego Krzywonosa, odzywał się huk armat, które w r. 1656 słały swe pociski armji Chmielnickiego, a u podnóża wiecznym spoczynkiem spały echa kniaziowego horodyszcza. Miał może Kazimierz Wielki myśl swoją, kiedy ponad dawnym zamkiem ruskich kniaziów wznosił zamek murowany, wbrew głównej zasadzie strategicznej, że zamek bez wody, to sępie gniazdo bez szponów, ale cała historja Wysokiego Zamku to jedna, jednostajnie ponura karta w dziejach Lwowa. Szalone wichry dachy mu rwały z wiązań, brak wody dłuższą obronę uniemożliwiał, starosta grodowy siedzieć nie mógł na takiem pustkowiu i odludziu. Więc w lochach zamku jęczeli tylko zbrodniarze, w komnatach jego los swój opłakiwała Halszka z Ostroga, a ze strzelnic bezsilnie wyglądały paszcze armat, bo miastu one pomocy przynieść nie mogły.

Jakoż nawała Chmielnickiego w r. 1648 kres przyniosła świetności Wysokiego Zamku. Wykopana ogromnym kosztem na jego dziedzińcu studnia ożywiła go na chwilę w r. 1656, w czasie drugiego najazdu Chmielnickiego, ale potem już nie odegrał żadnej roli Wysoki Zamek, chyba tę tylko jedną smutną, że z jego wysokości Karol XII. wypatrzył stosowne miejsce do zdobycia Lwowa w r. 1704.

I ciągle „pustkami śmierdział *instar* straszydła“, jedyne schronienie dla poetów, melancholików, przechadzka dla sentymentalnych dusz z pierwszej połowy ubiegłego stulecia, kopalnia dla poszukiwaczy zaklętych skarbów. Aż wreszcie na jego gruzach postanowiono usypać kopiec na wspomnienie wiekopomnego aktu dziejowego. Ścięto szczyt góry aż do kształtu dzisiejszej polanki pod kopcem, wszelkie wykopaliska, jak przedhistoryczne urny, narzędzia i zabytki histo-

ryczne skrupulatnie poniszczono, resztki murów poszły jako materjał budowlany do budowy kamienic przy ul. Łyczakowskiej l. 3 i 5, pozostał tylko smutny, odrapany, walący się kawałeczek muru na skrawku wzniesienia, dogodne miejsce do wmurowywania „tablic pamiątkowych“, no i... kopiec Unji lubelskiej z duchem Franciszka Smolki i jego wspomnieniem.



Ruiny Wysokiego Zamku przed usypaniem kopca.

Obecnie przybędzie jeszcze „tryptyk“, który wchodzącym na kopiec przypomni jednego z twórców nowożytnej Austrji i założyciela kopca Unji lubelskiej. *Fr. Jaworski.*

O dwu dramatach Orkana.

(Dokończenie).

Rzecz dzieje się gdzieś w górach. Gazda Łukasz znać w swej młodości miał bliżej nieokreślony romans z kobietą, której tylko imię znamy — Wilhelmina. Następstwem tego stosunku było dziecko, córeczka Elżbieta. Co się potem stało? jak i dlaczego ów stosunek się rozwiał? nie wiemy; wiemy zaś jedynie, że się rozwiał, że Wilhelmina żyje w tej samej wsi, że dziecko oddała do obcych i że Łukasz ożenił się z Anną, osobą dziwnej łagodności, dobroci i bardzo pobożną. Małżeństwo to jest bezdzietne, a dotknięte nieszczęściem, bo Anna na jakiś czas przed rozpoczęciem się akcji dramatu oślepła. Oto wszystkie dane do życia i psychologji aktorów „tragedji“.

Pierwszy akt w chacie Wilhelminy. Sproszono krewnych — także zaproszono Łukasza z żoną. Nie był tam oddawna — na usilne jednak nalegania przyszedł, z nim Anna, szarpana niepokojem, pełna złych przeczuć. Goście, po co ich tu wezwano? nie wiedzą. Wśród zgiełku luźnej gawędy — „widać przez uchylone drzwi — przechodzi Obca — poziera ku zebranym w izbie, stając prawie naprzeciw Łukasza — spojrzeli na siebie — i nagle, jakby dusze ich rzuciły się ku sobie — nieme powitanie ócz — uścisk ciał — w jednym momencie“. Obca znika. Cały ten moment uszedł uwagi obecnych. Jedna Anna „drgnęła“ — usłyszawszy „namiętny szept“ męża: „Wila“ i odrazu wyczuła bliskość niebezpieczeństwa — jakiegoś strasznego grzechu. Odsłania się wkrótce tajemnica zaprosin. „Obca“ to córka Wilhelminy i Łukasza. Łukasz bierze ją do swego domu.

Akt drugi i trzeci odbywa się w chacie Łukasza. Już w akcie pierwszym akcja uderzała

słabem tętnem — w akcie drugim i ślad tego tętna niknie; mamy przeważnie djalogi: Dyzmy, owczarza (o którym później) z Anną, Anny z Wilhelminą, Wilhelminy z owczarzem, owczarza z Łukaszem, znowu owczarza z Anną, Anny z siostrą Martą (wierszowany), gazdy z owczarzem, jeszcze raz owczarza z Anną, wreszcie Anny wizję (czy jakby to nazwać) burzy. Z djalogów tych dowiadujemy się, że Łukasz z córką utrzymuje kazirodczy stosunek. Na powyższy fakt reaguje subtelna, cierpieniem ślepoty spotęgowana we wrażliwości, dewocyjna natura Anny następującym syllogizmem uczucia i myśli. Jest grzech, grzech straszny! — gdzie grzech — tam i kara być musi! a jeśli kara nie spada na zbrodnicze głowy? to wówczas zsyła ją Bóg na niewinnych i tym niewinnym przypada w udziale ekspjacja grzechu, bo... bo ekspjacja być musi! Takie błędne koło rozumowań w połączeniu z niepojętem dla jej umysłu inaczej, niż jako dopust Boży cierpieniem ślepoty (która już dawniej bezwinną dotknęła) — musi doprowadzić ją skomplikowanym procesem suggestji do wniosku, że ona właśnie jest tym ekspjatorem grzechu męża i jego córki. Ponadto łamie jej duszę ból podeptanej, znieważonej własnej miłości kobiecej. Od tych duchowych cierpień zamiera coraz bardziej na ciele; tym bolesnym finałem śmierci Anny zamyka autor akt trzeci i dramat.

Dramatowi zbywa na momencie scenicznej gry działających sił. Fakta są właściwie... po za sceną. Przed nami tylko dżdżysty wieczór jesienny i wlokące się ciężko, posępnie dymy ognisk płonących po za sceną. Gdzieś, za grubemi murami więzienia czyjeś ręce szarpią w dzień i w noc kratę, czyjeś oczy konają z nadaremnej tęsknoty, czyjeś usta klną, proszą, płaczą — nas dolatuje tylko echo-domysł, my słyszymy tylko opowiadania lub poezję, refleksje lub najdalej głuchą skargę samego więźnia, gdy go na krótką przechadzkę przed nas wywiodą — reszta jest poza sceną. To „poza sceną“ jest z punktu widzenia dzisiejszej sztuki stanowczo ważnym zarzutem.

Z wyjątkiem owczarza i Anny inne postaci zarysowane są ledwo, a w dodatku dość blado. Ponadto jest pewna sztuczność w faktach, ta sama sztuczność w osobach i niedokładność w powiązaniu ich. Dwa jedyne fakty dramatu, otwierający go kazirodczy stosunek Łukasza i córki i zamykający — śmierć Anny nie są niemożliwością same przez się, ale mają zbyt mało motywów za sobą. Pierwszy jest zboczeniem bardzo dalekiem od przeciętnej psychiki ludzkiej. Skąd w owej zamożnej, uczciwej i pobożnej chacie chłopskiej taki występek? Tajemnicze „rzucenie się dusz ku sobie w jednym momencie“ w obec krytyki za psychologję nie uchodzi. Natomiast można w tem podejrzywać wykręt, służący do przeforsowania ekscentrycznego faktu, potrzebnego autorowi jako tło dumań Anny a wynurzeń owczarza. Śmierć Anny z powodu samych cierpień psychicznych — wiemy o tem dobrze — jest niemożliwa. Postać zaś Anny w gazdowskiej chałupie Łukasza jest absolutnie nierzeczywista. Nie kwestjonując elementów jej duszy — podanych już — sposób ujmowania własnych bolów i analizę ich uważamy za bardzo literacki — mimo, że autor materjałem porównań strzeże się zdradzić, iż to on właściwie analizuje. N. p. Anna opowiada siostrze Marcie o uczuciach, jakie przebiegały jej duszę, kiedy zdawało się jej, że mąż nocą stanął w zamiarze zadania jej śmierci — nad jej łóżkiem.

„Oto on w jedną noc, przeraźnie ciemną
— — — — — — — — — — —
Przyszedł i stanął przy mojem łóżku nademną.
Stał długo. Nie wiem jak długo, nie powiem,
Bo w lęku czas się traci
Nie widziałam, nie mogłam widzieć postaci,
Ale czułam go, o! czułam serca mrowiem,
Jak kurcze skryte pod liściem podbiału
Czuje nad sobą w powietrzu jastrzębia...
Leżałam cicho... Słyszałam głuche serca bicie
I o każdem myślałam: ostatnie...
Wpadały w noc... pochłaniała je jakaś czarna głębia.
Myślą modliłam się... Nie szło mi przecież o życie,
(Zdało mi się już zgasłe, zamogilne)
Ale o jego duszę...
Modły moje były jako strzały,
Prędkie, pilne —
Chodziło mi, aby w momencie do Boga dobiegły
Aby zmieniły wyrok, zapobiegły
Wiarą cała się stałam — i błaganiem.
— — — — — — — — — — —
Siostro! Jak nie on... to *myśl odeszła* go we śnie
I *przyszła zabić*.

Pomijając ostatnie dwa wiersze, co za majstersztyk prostoty i subtelności. Taką fotografię swych stanów psychicznych sporządza, z takim doborem porównań analizę swych cierpień przeprowadza literat-poeta, ale nie człowiek obłąkany bolem.

I postać Anny i cały dramat ukąpany w pysznych czasem nastrojach. Chwilami niesamowitość tła dramatu (stosunek Łukasza i córki),

dziwna postać, niby djaboliczna, Elżbiety, mistyczne powiedzenia Anny sprawiają na pół maeterlinckowskie wrażenie, a na pół, zdaje się, jakby ktoś dekadenckie towarzystwo ze „Złotego runa“ lub tp. sztuki sprosił do wiejskiej chaty, poprzebierał w chłopskie koszule i babskie chusty i urządził przedstawienie. O powiązaniu osób bezpośredniem oddziaływaniem na siebie niema mowy, skutkiem zasadniczego błędu w budowie dramatu; zastąpione zostało ono przez suggestję nastroju. Np. jaki stosunek łączy Łukasza z Anną. Czy to jest miłość? W ogólności czy tak, czy nie, — stosunek ten jako element powinien wchodzić jako pewna oznaczona składowa do późniejszych przeżyć Anny. W ogólności nie wystarcza rzucić przykre fakta jakieś jako podstawę czyjegoś cierpienia, trzeba jeszcze nie zapominać o tem, że te same fakta nawet w tem samem otoczeniu inaczej działają, jeśli to otoczenie związane jest z nami sympatjami lub tp. Tych uwydatnień drobnych, lecz plastycznie dostępnych drgnień duszy Łukasza, Elżbiety w momencie, kiedy wytwarzały się przesłanki ich stosunku, a stosunek Łukasza do Anny się przełamywał — dramatowi brak z powodu owego fatalnego „po za sceną“.

Najlepszą pod względem traktowania postacią jest owczarz Dyzma. Chłop filozof wyścigany od obcowania z ludźmi przez swą czułość, a ich nieczułość i niedobroć. Latem przebywa na halach, pasie owce cudze i „rozmyśla se różnie“ — dopiero zimą przymuszony ściąga do chat i tam chowa swą człowieczą duszę w jakimś łaskawym kącie przed pospolitem, drapieżnem, a samolubnem natrętctwem swoich... „współbraci“. Źle mu jak każdemu prawdziwemu człowiekowi pośród niedoludzi. Nie robi on jednak już z tego tragedji — bo przywykł — przefilozofował. Nad sobą się więc nie żali — lecz gdy znajdzie „krewną“ duszę, z którą „życie śpasuje“, która bezsilnie się miota w kole własnych lub cudzych kłamstw, wtedy bliźni ból skaleczy mu serce i zaczyna mówić — prawdę. Taką „krewną“ duszą jest dla owczarza — Anna. Patrząc na jej zmaganie się z cierpieniem, słysząc jej opaczny syllogizm o winie i karze — milczący Dyzma poczyna mówić prawdę, by ją od **cierpienia niepotrzebnego** wybawić. „Widzę, że cierpicie przez ludzki grzech — żal mi was — i chcę wam powiedzieć, że to niekoniecznie cierpieć“. — I mniej więcej ogródkami daje jej do poznania, że „grzech i kara, to ino wymysł ludzki“. Opowiada jej historję o mężu, który żył nie z żoną, a z siostrą swej żony, — Pewnego razu padł piorun przez komin do izby i zabił... żonę. A jak Dyzma dodaje „najczęściej piorun nie wpada kominem i żadnego z tych trojga nie zabija“.

Anna *(z nagłym przestrachem)*

To myślicie, że grzechu niema, czy też kary?

Owczarz *(uspokajająco)*

Grzech jest, i kara jest, a jakby ich nie było, toby je ludzie znowu wynaleźli... ...Jeno co do winy to trza podumać. Bo albo niczyjej winy niema, albo jest wina wszystkich. Jak kto woli. Ja myślę, że winniśmy wszyscy, bo któż z nas po ludzku żyje?

Przytoczona opinia nie przeszkadza owczarzowi aby niedługo potem powiedział: „niema niczyjej winy“. Nie biorę zbyt poważnie wynurzeń owczarza; pojęcia winy nie załatwia się chłopsko-rozsądnym dylematem „albo niczyjej winy niema, albo jest wina wszystkich“. Chcę też przypuszczać, że objektywna wartość myśli owczarza jest dla Orkana obojętna i że nie czyni z postaci powyższej w całej pełni intellektualnego wykładnika dramatu. Za to napewne twierdzić można, że Dyzma jest rezonerem dramatu. Przeprowadza on w obec Anny i wobec nas dostępną dla jego doświadczenia oraz sprawności umysłowej dyskusję zagadnień dramatu życiowego, jaki widzimy. Jest bardzo dobrze psychologicznie traktowany, żywy. Prócz jednak znaczenia swego, jako „dramatis persona“ ma on większy walor dla samego Orkana.

Owczarz Dyzma, to jedna z tych postaci Orkana, pod których przebraniem on sam incognito towarzyszy bohaterom swoim i akcji. Przypuściłem, że Dyzma **w całej pełni** wykładnikiem intellektualnym dramatu nie jest — ale po części jest — a napewno wykładnikiem uczuciowym. Jeśli więżąc niefortunnie intellektualne wyniki swoich rozmyślań w domorosłym filozofie chłopskim, krępować się musiał psychologiczną prawdą i tylko strzępy myśli rzucił przez jego usta — to z uczuciową stroną nie robił sobie kłopotu. Z poza maski owczarza wygląda też cierpiąca, zagniewana jakby na własne „niepotrzebne“ cierpienie twarz Orkana. „Wina i kara“ to nie dramat Anny — ale to dramat Dyzmy-Orkana, który patrzy na takie „żarty życia“, na tragiczne nieporozumienie ludzi co do winy i kary — i boleje, chociaż nie chce boleć. Napróżno powiada: „zło zostawić samemu i ludziom, co je pełnią. Niech się oni tem trapią“.

„Ludzie żyją, jak im się samo żyje... A trafi się taka natura co cierpi, no to cierpi“. — Kiedy właśnie gniewa go to, że cierpi n. p. taka Anna i to cudze cierpienie staje się mu własnym bolem. Więc mówi prawdę. Lecz „cóż ludziom po prawdzie, gdy cierpią“. I to jest najistotniejsze, to jest ów cierń, który nieznośną udręką wywołał refleksje Orkana, z nich wyłoniły się djalogi owczarża a do tych djalogów dorobił poeta dramat. To znać — i prawie na pewno można twierdzić. Owa właśnie geneza refleksyjno-liryczna dramatu jest też przyczyną wszystkich jego niedoborów. Z tego urosły dwa akty a pierwszy zdaniem mojem powstał jako dolepek, mający nas wprowadzić w późniejsze zdarzenia. Dolepek ten, w takiej postaci, w jakiej jest, jest zbędny. Lepiejby było obrócić go na formowanie się stosunku Łukasza do Elżbiety.

Na zakończenie podjąćby należało dyskusję z intellektualnemi pierwiastkami myśli autora zawartemi w djalogach owczarza. Jednakże nie chcąc być insynuatorem, z urywków myśli nie mogę odtwarzać całości i za tę przypuszczalną całość atakować poetę; odkładam to do innej sposobności, kiedy dokładniej sformułowane nadarzą mi się opinje Orkana.

Wracając teraz do wyników analizy obu dramatów, konkluduję, że dramat nie jest formą właściwą Orkanowi. Albowiem od okresu „Ofiary“ postąpił Orkan bardzo znacznie we wszystkich kierunkach: pogłębił i wysubtelnił myśl, wykształcił język, wydoskonalił plastykę porównań — formie dramatu przecież uchybia bardziej niż przedtem. Gdy kłaść tego na karb pośpiechu nie można, ani też odmawiać autorowi chęci ku wykończeniu utworów swoich, ponieważ pod innymi względami dzieła jego opracowane są sumiennie — trzeba przyjąć jako pewne, że forma dramatu i wogóle każda forma, w której dramatyczne pierwiastki górują, obca jest zasadniczo organizacji twórczej naszego poety. Zdaniem mojem jedynie forma kompozycyjna, najpokrewniejsza liryczno-refleksyjnemu talentowi, będzie swobodną areną do rozwinięcia wszystkich zasobów bogatej a przepięknej poezji Orkana.

Adam Zagórski.

Wanda Dalecka.

Pieśń ojczysta.

Z niedawnej przeszłości.

(Ciąg dalszy).

Pod otwartemi oknami, w mroku wieczornym gałęzie lip tylko szumiały i tylko gwiazda, co mu w noc każdą na północnem tle nieba wschodziła, widziała dziś chylące się czoło blade, zroszone potem Ogrojca i oczy głębokie, nalane bólem niezmiernym, z otchłanią rozpaczy patrzące po ogniach chat migocących w dolinie.

A gdy północ wybiła, w cichym, czuwającym domu rozległ się nagle głuchy trzask spuszczonego kurka — i niemal jednocześnie, tak zaraz po sobie, jak błysk i grom, rozdarł ciszę zamku ostry, bolesny krzyk, śmiertelnie w piersi ranionego ptaka — krzyk co wybiegł z komnat pani i jękiem ech przeleciał szeregi salonów.

A już nazajutrz w sali przyjęć zamku Kimburgu, wśród mnóstwa świec jarzących i wieńców, i kwiecia, i gaju cyprysów, na wysokiem wzniesieniu, czarnymi kirami przybranem, w bogatej trumnie leżał dziedzic młody, uśpiony w śnie wieczystym; na wyniosłe, na czyste czoło zsunął się promień włosów, a na ustach młodzieńczych zamarł uśmiech smutny, w pół gorzki.

Cisza zaległa dokoła, nie poruszylo jej żadne echo stąpań; tylko po rogach żałobnej komnaty mnichy szeptali pacierze, tylko czasem sługa stary, albo piastunka skradali się na palcach i tłumiąc łkanie, klękali u progu; i tylko z głębi pokojów przypływał niekiedy głos bolesny, ni to jęk cichy, ni to szloch skargi urwanej.

Wczesnym rankiem przed bramą zamkową zbiegł się lud z całej okolicy, domagając się wpuszczenia na zamek; napróżno wrótny starał się drzwi zamknąć przed nimi, zalegali coraz liczniej podwórze i czekali, gotowi czekać tak długo, póki wpuszczeni nie będą. Aż wreszcie marszałek dworu z wysokiego ganku obwieścił, że nie będą wpuszczeni, i nie zobaczą po raz ostatni dziedzica — bo lada godzina, lada minuta nadjechać może z Wiednia ojciec zmarłego, stary pan na Kimburgu.

Na tę wieść, jak pod głosem ciemnego zaklęcia lud z przed wrót obleganych ustąpił i tylko pomruk cichy, niby szmer cofającego się w głąb morza, spłynął po chmurnych gromadach.

Lecz wkrótce potem, zanim jeszcze ojciec

nadjechał, stary kamerdyner wyszedł na tylny krużganek, zawołał sługę, młodego pachołka zmarłego pana i szeptał mu coś i pouczał i srogo przykazywał a palec kładł na ustach, a potem wysłał go pokryjomu i gnać kazał, ile tchu w młodej piersi starczyło. Gdy wybiegło pacholę, starzec stał długo na ganku i z pod brwi nawisłych pilną źrenicą śledził pędzącego wśród łanów pachołka i nie zeszedł pierwej, aż tamten dopadł pierwszych drzwi chaty wieśniaczej.

Kiedy w południe przyjechał pan do Kimburga, w cichym zamku życie do reszty zamarło; rzekłbyś, jakaś dłoń żelazna była na wszystkiem, co żyło.

Chwilę stał tylko przed trumną syna; nie ugiął kolan, nie uchylił głowy — z zaciśniętemi wargami, z surowem obliczem, posępnem jak chmura nie obdarzywszy sług starych spojrzeniem, ni słowem, udał się do swoich pokojów i ciężką zasłonę na drzwi swoje zasunął.

W całej dolinie Kimburga, po wszystkich wzgórzach, po wszystkich wioskach straszliwa wieść, jak huk gromu, zatrzęsła węgłami chat. Lud odbiegł od roli, od kosy, od warsztatów, od winnic. Ciężka żałoba pochyliła czoła a jednocześnie niepokój iskrą rozpaczy zapalił się im w duszy.

Co będzie teraz? Czy dawne czasy mają powrócić? Te czasy ponurej ciemnoty, kiedy pan na Kimburgu słał z Wiednia rozkazy swym rządcom, a rządcy jeden po drugim straszliwsi, czujni ręki, która im chleb dawała, lud uciskali, a wszelki ogień narodowego życia, w iskrze wszczęty, starannie gasili.

I oto teraz, gdy rozkaz starego sługi z ostatnią wolą zmarłego obiegł wszystkie siedziby — kiedy ponadto dzień i godzina pogrzebu publicznie ogłoszonemi zostały — zebrał się lud okoliczny w tak wielkiej liczbie, że gdy stanęli po obu stronach drogi przed bramą zamkową, wzgórze całe i dalekie rozłogi równiny niby morzem ruchomem pokryły się barwnemi falami narodu. Wszyscy przybyli od dostatniego włościanina, półpanka, do najuboższego z rolników i wyrobników — starce, co patrzyli w zmarłego, jako w spokojną jasność swego zachodu, młodzieńcy, co ogniem duszy wybiegali naprzeciw jego staraniom, mężowie dojrzali, którzy z dumą pogodną spoglądali w przyszłość swoją i swoich dzieci, nie szczędząc pracy, zabiegów i narad, aby każdą myśl młodego dziedzica, w czyn zaraz przepoić. Przyszli teraz, aby go pożegnać, jak o to prosił w ostatnich słowach — i stali tu zdumieni i smutni, nie pojmujący, skąd ten straszliwy grom uderzył nagle w ich życie i zgasił wszystkie nadzieje, wszystką dumę ich pracy.

A cisza panowała w tym tłumie; żaden wykrzyk głośniejszy, żadne słowo żywsze nie ozwało się w milczących gromadach. Tylko, kiedy przybyli księża, a wysiadłszy przed bramą z powozów żałobnym szeregiem wstępowali w podwórzec zamkowy, a wiódł ich krzyż, wysoko w powietrzu wzniesiony, tłum odkrył głowy, ten i ów ugiął kolana.

D. n.

Z ZA KRATY.

LUŹNE KARTKI*).

(Ciąg dalszy).

Gubernator pozwolił, no i chłopak poszedł był do ochrony, ale nie mógł tam mieszkać, otóż znaleźli się jacyś litościwi państwo, co mi chłopaka zabrali za swego niby, umieścili go u jednej ubogiej wdowy na stancji i posyłają do szkoły. Wie paniusia, mówiła z nieukrywaną radością, mój chłopak to już umie czytać i pisać, w szkole to go najbardziej chwalą ze wszystkich dzieci, ma już osiem lat, a taki duży, śliczny, zupełnie w Antka, ojca swego, się wdał — dokończyła z dumą.

— Czy tu Bolek przychodzi? zapytałam.

— Dwa razy tylko przez te dwa lata tu był, bo i ten pan nie pozwala i on sam to się tych murów boi. Drżał cały, jak tu go przyprowadzono, a jak się go spytano, czyby nie chciał z mamusią zostać, to powiada: „ja mamusię bardzo, bardzo kocham, i chciałbym z nią zawsze

*) Z powodu zatracenia paru kartek w drukarni, opowiadanie Skrzydlakówny jest nie jasnem, co w poprzednim numerze (29) musieli dostrzec czytelnicy, prostując więc ten błąd, podajemy opowieść w streszczeniu. Doprowadzona pijaństwem ojca i okrucieństwem jego towarzyszki do rozpaczy, przerażona też widzeniem więzienia, nieszczęśliwa dziewczyna, uciekła w końcu z domu, i schroniła się do znajomej sobie mieszczki w Pabjanicach, prosząc o pomoc. Ta wysłuchawszy opowiadania dziewczyny, rzekła, (patrz N. 29).

żyć, ale tylko na wolności, a do więzienia — powiada — to ja nie pójdę.

— No i widzi pani, zawołałam z radością, że musi pani już iść inną drogą, musi pani wziąć się do uczciwej pracy, przecie inaczej za rok, dwa lata, to się Bolek matki wyrzeknie; a Izabelka—wie pani, co się z nią stanie? Pani dzieci kocha, to trzeba myśleć o ich życiu, niema tak złej rzeczy, z której by się człowiek nie mógł otrząsnąć, by stać się znów uczciwym, chodzi tylko o dobrą wolę. Potrząsnęła głową, łzy kręciły się w jej oczach.

— Paniusia tak mówi, a czy naprawdę sama przyjęła by mię w dom, czy byłaby spokojną, mając pod swym dachem trzy razy karaną złodziejkę?..

Nie umiałam jej na razie odpowiedzieć.

— Ot, widzi paniusia, że mnie albo już nie żyć na tym świecie, albo też iść dalej tak, jak dotąd, szepnęła z bólem.

— Fe, niech-że Bóg chroni, zawołałam, wszystko jeszcze przed panią, o mnie mowy być nie może, bo któż wie, kiedy i dokąd stąd wyjdę, ale są jeszcze dobrzy ludzie, którzy biedzie pani zaradzą.

I dałam jej adres znajomej mej, mieszkanki Łodzi, polecając, by się na mnie powołała. Obiecała, że tam pójdzie, że będzie się starała poprawić; nie wiem, czy to spełniła.

Była to nasza ostatnia rozmowa z Skrzydlakówną, ostatni raz widziałam ją i dziecko.

23. Czerwca. — Miałam dziś rozmowę z p. Zielonką, przedewszystkiem zapytał, co mię w końcu skłoniło do powiedzenia nazwiska. Zabawiło mię to naiwne pytanie i odpowiedziałam:

— Badając wciąż różnych więźniów, musiał pan chyba już zdobyć pewne wiadomości psychologiczne i rozumie pan, iż w życiu kobiety moment psychologiczny jest decydującym. Nie wiem czy mię zrozumiał, ale zdawał się być zadowolonym, — natomiast zapytał, czy mieszkałam w innych miastach Rosji.

— Nie byłam nigdy w Rosji, rzekłam.

— Jak to, zapytał, przecież i teraz jest pani w Rosji.

— Jestem w Polsce, panie, odpowiedziałam. Polska mogła być przez Rosję zabraną, ale Rosją nie jest, równie dobrze, jak rzecz przywłaszczona nieprawnie nie staje się własnością przywłaszczyciela.

— Pani, burzy całość państwa, rzekł na to, pani się w słowach nie miarkuje.

Wzruszyłam ramionami.

— Czy pan to mi wpisze do protokołu?

— A! prawda, rzekł, wszak pani nie podpisała protokołu w Granicy, może zechce teraz to uczynić, przeczytam go pani. D. n.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Bolesław Gorczyński: Sytuacja z dramatu. Utwór sceniczny w 1 akcie. — Tenże: Inteligient. Scena z życia. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. Książki dla wszystkich.

Pomysł „Sytuacji z dramatu" ciekawy i nieprawdopodobny, jak ów „Cichy człowiek", dramat młodego Bronicza, dramat jego własnej jaźni, rozgrywający się na tle stosunku jego macochy do ojca. Macocha zdradza męża, ojca nieszablonowej postaci Bronicza, zdrada ta jednak nie wywołuje w gniazdku rodzinnem dramatu. Jest on pożądanym przez Bronicza; Bronicz go wywołuje w fantazji i pisze i przedstawia w teatrze. Postać zdradzonego małżonka, „cichego człowieka", gra znakomity aktor (również „cichy człowiek") Karłowski. Gra znakomicie. Bronicz przychodzi na drugi dzień po przedstawieniu do niego. Powtarza się sytuacja z jego dramatu. Żona Karłowskiego jest podobną do macochy Bronicza — Karłowski do ojca. Bronicz jest przedmiotem pożądań Karłowskiej. Karłowski wyszedł. Karłowska gra macochę — Bronicz mści się za „cichość" ojca i — w zapamiętaniu — morduje Karłowską. Sytuacja z nieprawdopodobnego dramatu stała się surową prawdą.

„Inteligient" zaś uwiódł dziewczynę, zakochane w nim „szewckie dziecko". Właśnie tej nocy jest jej wesele — wychodzi za rzeźnika. Inteligient z przyjacielem mają sobie na ten temat dość do powiedzenia. Obrabiają to zdarzenie na wszystkie boki. Warte śmiechu i łez. Nad ranem w czasie swych godów weselnych dziewczyna skończyła życie samobójstwem... „Inteligient" wyśmiałby i to, ale fala łez go przygniotła. (Przypuszczam, że na drugi dzień powiedział pewnie coś na ten temat wesołego i dowcipnego).

Oba powyższe dramaty są pisane zanadto „scenicznie". Autor zna doskonale wszystkie nawyczki teatromanów i stara im się sumiennie dogodzić. Stąd w prawdziwie ciekawych momentach pobieżność i powierzchowność, unikanie głębszego starcia się działających sił, natomiast w scenach obojętnych dużo błyskotek, fajerwerków studenckich, ujeżdżonych, bo ujeżdżonych, zawsze jednak sympatycznych.

W dorobku literackim autora „Sytuacja z dramatu" zajmie bezwarunkowo pierwsze miejsce — pisana jest z dużą siłą i sprawnie. O „Inteligencie" nie można tego powiedzieć.

Fel. Gw.

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ" we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.